

JERZY FILIPOWICZ

ur. 1927; Warszawa



Miejsce i czas wydarzeń	Niemcy, Polska, II wojna światowa
Słowa kluczowe	II wojna światowa, zakończenie wojny, powrót do domu, Ukraińiec Włodzio, żołnierz rosyjski, droga do Warszawy, wygląd powojennej Warszawy, przesłuchiwanie i bicie, leczenie

Koniec wojny i długa droga do domu

No i nastąpił okres zakończenia wojny. Co dalej? Zakończenie wojny, u nas szalona radość. Ale jednocześnie dyskusja. Co robią Amerykanie – przesłuchują nas. Wzięli mnie i mówią: „Słuchaj, ty jesteś akowcem, powstańcem warszawskim, ty nie wracaj, bo cię tam załatwią”. A ja wiem, jak mi ojciec tłumaczył - on mnie pozbawił miłości rodzinnej, ale kazał mi kochać ojczyznę i wiedziałem, że mam służyć ojczyźnie do końca życia bez względu na wszystko i jej nie opuszczać. Ale też tak myślę, no bo cóż, jestem młody, nie mam zawodu, co ja będę na Zachodzie robił? Zresztą, chociaż ta noga była nie w porządku, to ja muszę jechać do Warszawy, przecież ja tą Warszawę zostawiłem zagruzowaną. Ja muszę tam pracować, odbudować ją. Ja muszę być normalnie Polakiem, uczestniczyć w odbudowie, a nie tu o sobie myśleć. Wracam. No, ale w jaki sposób? Przecież nie było komunikacji. Do pasu granicznego między Rosjanami a Amerykanami dowieźli nas Amerykanie samochodem, ale później trzeba było iść pieszo. Na granicy o tyle dobrze zrobili Rusczy, że połowę zabrali – zegarek zabrali i tak dalej. Ogołocili i było mniej dźwigania. Niemniej jednak – jak tu się dostać do tej naszej Warszawy? Przecież to setki kilometrów. Ale taki młody Ukraińiec, w moim wieku po polsku mówi: „Słuchaj, ja na Ukrainę mam dalej, a ty do Warszawy masz bliżej. Idziemy razem.” Tak popatrzyłem na niego – młody chłopak, dobrze mu z oczu patrzy. Dobra. On był tak, no, w moim wieku mniej więcej, starszy ode mnie o cztery, może pięć lat. [Nazywał się] Włodzio. Dzięki niemu wiele rzeczy się udało. Bo, po pierwsze, zdobył dwa rowery. To były takie stare rowery, ale na piechotę śmy nie szli, tylko na rowerach żeśmy jechali, a to już duża ulga. Ale tak jechaliśmy, jechaliśmy wreszcie i te rowery nam nie pomagały w jeździe. No, bo patrzę, a na podeszwach, tu gdzie się pedałuje - są bąble, krew leci, coś niedobrze, nie można kontynuować. To co tu zrobić? Jedną koszulę porwałem, owinąłem tę nogę, ale i to nie dawało rady. Ja tak leżę w rowie, bo to bolało, i tak zastanawiam się, co

dalej robić. A ten Ukrainiec poleciał, zabrał Niemcom wracającym w tą stronę konia, wóz, na którym było wyściełane słomą, a nawet była pościel jakaś i podjechał przede mną: „Słuchaj, mamy bryczkę na powrót.” - „No, a jak to wzięłeś?” - „A Niemcom, pytałem się jak daleko [jadą] – niedaleko, niecałe sto kilometrów, to w stosunku do nas, to ho, ho!” No to rzuciliśmy te rowery w rów, no i wspaniała jazda! Koń ma się gdzie paść, łąki są, my Niemców prosimy [o jedzenie]. Całą drogę nasze wyżywienie, to była jałmużna od Niemców, naszych wrogów. Ale byli Niemcy tacy, co dawali i nawet dawali chleb na zaś, ale byli tacy, co wyrzucali. Byli różni. Ale jak myśmy wycwanili się. Jedziemy i są posterunki polskie i rosyjskie. Na polskim posterunku ja wywieszam biało-czerwoną z podszewki flagę, wtenczas puszczają nas krótszą drogą. Dalej patrzymy, Ruscy, no to bierzemy czerwoną flagę, wychodzi Ukrainiec, siada za koniem, prowadzi, kolega śpi, rzekomo, a Rosjanie puszczają nas krótszą drogą. No i tak dojechaliśmy do Odry. Nie wiem, co się z nim [Włodziem potem] stało. Może go zaaresztowali? Bo tam byli różni, byli i żołnierze Własowcy, nie Własowcy, różni się ukrywali. Nie wiem, kim on był i w ogóle nie widziałem go od tej pory. W miejscowości Pasewalk Niemcy, znaczy nie Niemcy, a Rosjanie nas wygruzili, zabrali konie, wóz, wszystek dobytek, ja tylko zdołałem wziąć kurtkę, założyć na siebie. Zrewidowali nas, dali taką bumażkę, że można iść w kierunku wschodnim, no i dalsze, to już na piechotę.

Miedzy Odrą a Starogardem Gdańskim, to jest kawałek drogi, a to już przebyłem na piechotę. To była męczarnia, no, bo tak - to, że kulawy facet, to pół biedy, bo to jeszcze nie była taka straszna sprawa, ale taka beznadziejność - ciągle prosisz tych Niemców, żeby ci dali pić, żeby ci dali strawę. Nocujesz na dworze gdzieś w zbożu, bo jeszcze zboże było niezżęte wówczas. I kawał drogi. Idziesz, pytasz – i kawał drogi. No, ale jakoś po tygodniu, czy po dwóch tygodniach, nie pamiętam, dotarłem do Starogardu Gdańskiego. Kładę się na peronie, kurtkę pod [głowę] i śpię. Pierwsza rzecz, to trzeba się było wyspać. Nie wiem, ile czasu spałem, w każdym [razie] nie było deszczu, bo to było lato, nie było źle. Na ogół tam przybywało masę ludzi - i z dziećmi, i różne towarzystwa tam. Pytam takiego z czerwoną czapką, kiedy tu pociąg przyjedzie. Może za tydzień, może za dwa, ale przyjedzie. No to ja leże. Przychodzili tacy z wolontariatu, prawdopodobnie, przynosili zupę w kotłach i kawałek chleba. Można było zjeść tej zupy w takim kubku. I to jakoś człowieka utrzymywało, ale to trwało zbyt długo. Po jakichś mniej więcej dwóch tygodniach, leżę, podchodzi do mnie, kopie mnie jakiś Ruski – pamiętam jak dzisiaj, w zielonym mundurze takim. O - mówię – koniec ze mną. Strach mnie obleciał. O nie, dostałem tyle czasu, a teraz zginąć? A on tak do mnie mówi łamanym polskim językiem: „Dokąd ty jedziesz?” - „Do Warszawy.” - „To przez Poznań?” Ja mówię: „Chyba przez Poznań.” - „No to będziesz moim tragarzem.” Tu ludzie naokoło patrzają, co się dzieje. A przed nim stoi też taki jakiś starszy wojskowy, trzyma dwie walizy. Daje mi te walizki - ciężkie były - no i on mnie prowadzi. Gdzie idiemy? Był taki okrągły budynek zawiadowcy, no i idiemy do tego zawiadowcy. On przedtem już rozmawiał ze mną, ten zawiadowca, już był

poinformowany. Każe mi iść na górę. Tam było tak normalnie, dwa łóżka z desek zbudowane, jakaś tam poduszka. I ten Ruski mówi tak: „Będziesz tu pilnował tego, jak któraś z tych walizek zginie, to śmierć. Nie wolno ich ruszyć. Nie można tam zaglądać. Nic. To na twojej głowie.” Co miałem mówić, nic nie mówiłem. Dla mnie to właściwie raj, [choć] z deszczu pod rynnę. No i co, wieczorem przychodzi zawiadowca, bo w dzień, to on biegał po Starogardzie, przynosi bimber, nalewa do takich musztardówek i każe mi pić. Ja w życiu tego nie piłem. Jak wypilem, to zaraz wymioty. Oni się śmieją, każą mi słoniną zagryźć. No, co miałem robić. W pewnym momencie przyjechał pociąg. Dantejskie sprawy, szczególnie z dziećmi, [ludzie] chcą się dostać do tego wagonu bydłowego, bo to bydłowe były wagony. Okazuje się, że dla nas dwóch jest zarezerwowany pierwszy wagon. Pusty. Ja proszę go, żeby dzieci wziął. On mówi: „Nie, nie wolno”. Siedzimy i jedziemy w kierunku Poznania. Nagle stają, wygruzają wszystkich do budowania torów, czy do usuwania awarii, kobiety zostawiają. Mnie to nie dotyczy. Jestem uratowany. Muszę z nim grać w oczko, bo on w oczko dobrze umiał grać i nie przegrywał. Ja nie miałem czym płacić, ale on tam machał ręką. No i tak, miałem takiego towarzysza do rozmowy. Strasznie był rozmowny, mówił mi gdzie to on jeździł, pokazał mi [dokument] gdzie był podpis Stalina, że on jechał do Szczecina w ważnej sprawie. Strasznie się pysznił. Zauważyłem, że on jest bez dystynkcji, a wszystka starszyna rosyjska, żołnierze, jemu się meldują i na baczność stają. Czyli to był jakiś enkawudzista. No i tak dojechaliśmy do Poznania. W to oczko żeśmy grali, przestaliśmy i ze znużenia zasnęliśmy. Wstaje, patrzę – walizek nie ma, mojego towarzysza nie ma, a ja stoję na bocznicu. Wychodzę, patrzę – idzie taki z psem, z czapką kolejarską. – „Panie, co ja tu robię?” – „A, no, przyjechałeś – mówi – ze Starogardu. A gdzie ty owieczko jeszcze tu chodzisz?” Ja mówię: „No ja miałem tu towarzysza, ale jego nie ma”. – „E, już wszyscy wygruzowali, ty idź na stacje i tam zamelduj.” No to poszedłem na stacje i się zameldowałem. Ta pani w hotelu mówi: „Słuchaj, ja nic nie wiem, tu jest ogólny bałagan, jest dużo przybyszów. Idź innych spytaj, bo ja ci nie pomogę.” No to ja stoję na peronie. Patrzę, przyjechał pociąg z rannymi, wojskowymi. Cały załadowany. I Polacy, i Rosjanie. Jadą do Bydgoszczy. Ja mówię, inną drogą jedzie się [do Warszawy], na Kutno, a nie przez Bydgoszcz, no, ale co mam robić? Jedyne pociąg. Więc proszę tych [żołnierzy] – „A skąd ty jesteś?” – „Z Warszawy.” – „Jak z Warszawy, to siadaj.” To siadłem. Odkryli tam jakieś konserwy, herbatę, kawę, częstują mnie, jak bracia, ale wszystko ciężko ranne. Nogi pobandażowane, postrzelane, no, ale chłopaki wesole. Nie wiem, dlaczego, ale nikt nie jęczy. Może w innych wagonach tak, ale tu w tym moim wagonie wszystko wesole. I opowiadają. I mówią – „Jak w Warszawie?” No wiec, ja nie powiedziałem, że walczyłem w powstaniu, tylko opowiedziałem jak po powstaniu Warszawa wygląda. I tak dojechałem do Bydgoszczy. W Bydgoszczy oni ich zabrali do szpitala, a ja – na peron. Trzeba było walczyć o miejsce na poczekalni, o miejsca do siedzenia i spania, bo było tak dużo ludzi. Więc ja stałem, stałem, patrzyłem, jak któryś wyszedł, może za potrzebą, to ja

buch jego miejsce, siadam, to już moje. No i siadam, patrzę, siedzi koło mnie też uciekinier jakiś. On miał suchary, ja miałem puszkę konserwy od tych żołnierzy, tośmy se zjedli i tak jedna, czy dwie noce, nie pamiętam, dwa dni żeśmy przesiedzieli czekając na pociąg do Warszawy. Bo już z Bydgoszczy do Warszawy pociągi chodził, ale pociągi towarowe, ale siedzę i w pewnym momencie - to zakrawa trochę na film - bo siedzę, a w pewnym momencie Jurek Krzyżanowski, ten właśnie z Szarych Szeregów, cośmy poznali się i chodziliśmy na komplety w Warszawie, przebiega z menażką taką, jak się nosi obiad. Patrzy, mówi: „To ty, Jurek? Toś ty przecież zginął w powstaniu. To duch, czy jak?” Ja mówię „Ja nie zginąłem” - „No mnie mówili, żeś zginął, że zostałeś ranny”. „Tak, ranny zostałem, ale nie zginąłem. A co ty tu robisz?” - „Mój ojciec [jest] zawiadowcą stacji w Bydgoszczy”. No, konstatacja, coś niebywałego! Zabrał mnie - czterdzieści osiem kilo wagi facet, wychudzony i ta noga. Jak ci jego rodzice się mną zajęli! Przebrali, wymyli, wykarmili. Nie dali przez dwa tygodnie się ruszyć, tylko chodziliśmy czasami po mieście. I teraz mówią tak: „Nie pojedziesz, tylko pójdiesz do PURu.” To takie przedsiębiorstwo dla uchodźców, które dawało bilety i zaliczkę pieniężną na powrót do miejsca zamieszkania. Czyli do Warszawy. Dostałem zaliczkę, dostałem bilet. Ten pan zawiadowca jeszcze miejsce załatwił, bo to trudno się było dostać do tego [pociągu]. Okazuje się, że podjechał nie pociąg towarowy, tylko taki normalny. Tylko te przedziały były inne – przedtem konduktor chodził na zewnątrz i wchodził do przedziału. No i jedziemy, jedziemy, a ze mną jedzie masa tak zwanych szabrowników, pytają się, co ja przewożę. Ja mówię, że ja nic nie przewożę, jadę do Warszawy. I z nimi w ogóle nie rozmawiam na te tematy, bo wiadomo, to to pół pijane, pół nie tego. No i z tymi ludźmi przyjechałem do Warszawy. Wychodzę w Warszawie, oni wszyscy byli kontrolowani, przeszukiwani. Mnie przeszukał taki wojskowy – „No idź.” No to idę dalej. Patrzę – furmanka stoi. Kto na Pragę? No, trzeba było mieć pieniądze, żeby jechać, a ja pieniędzy nie miałem, więc nie pojechałem. Idę, patrzę, Warszawa – jak ją przecież opuszczałem, to nie była tak zniszczona. Była zniszczona na pięćdziesiąt procent, a to już na dziewięćdziesiąt. Czyli resztę Niemcy dopełnili, czy front. Poszedłem na Bracką, patrzę, splądrowane mieszkanie. Zostawiłem tam kartkę, miałem kawałek ołówka, że byłem, że może rodzina tam wróci. Wszystko było splądrowane, [została] jedynie waga, waga lekarska cioci Zosi, tego nikt nie wyniósł, bo to ciężkie, a tak to wszystko powynoszone. Idę przez most. Moja mama mieszkała na Ząbkowskiej. Idę przez Karową, a naprzeciwko Karowej na Pragę był most tak zwany wysokowodny, drewniany. No i idę przez ten most, przechodzę na drugą stronę, a tu ciap. I do samochodu, na górę. Nie wiem, dlaczego, nie wiem, po co. Widzę, jeszcze kilku siedzi takich w moim wieku i starszych. [Jedziemy] na posterunek policji. No i tam, ma się rozumieć, bicie. Przesłuchuje mnie taki starszy lejtnant. To jest, jak to się mówi, podoficer. W języku polskim ledwo co mówi, ale można go zrozumieć. I mówi: „Byłeś bandytą. Byłeś w Armii Krajowej. Byłeś w powstaniu.” Ja mówię - skurczybyk, skąd on to wie? Ja mówię: „Nie, jestem za młody. Nie byłem w AK, nie brałem

[udziału w powstaniu]”. No nic, do lochu. A to jest cela, prycza z drewna, małe okienko zakratowane i nic więcej. Patrzą, na noszach leży jakiś chłop. Pokrwawiony cały, jęczący. Ja mówię: „Co ci się stało, powiedz, szanowny, powiedz.” A on takim bełkotem do mnie: „Nie przyznasz się, żeś był w AK, bo cię tak załatwia, jak mnie.” Ja całą noc myślę, co zrobić. Jak to tak? Czyli przyznać się nie mogę, ale jak z tego wyjść? Nie miałem pojęcia. Na drugi dzień badanie, trochę gorsze, bo już tak z polewaniem wodą, biciem po plecach pałą, kopaniem. Później stołek, spadałeś na cztery litery, z powrotem podnosili i abratno ta sama historia. I później przesłuchanie u pana lejtnanda. U lejtnanda, to może źle się wyraziłem, no u tego, u tego Rosjanina. Mów swój życiorys. Więc ja zmyśliłem swój życiorys tam na dole, taki, który nie podpadałby im, że nie brałem udziału w żadnych walkach. No i on tak to słucha, słucha i znowuż wraca. I na następny dzień znowuż to samo. Tak chyba trzy dni to trwało, w pewnym momencie, rozświetliło mi trochę w głowę - trzeba się przyznać, że mam kolegów w AL-u, bo oni AL traktują inaczej. Ja mówię do tego starszyny: „Proszę pana”, czy „Obywatelu” się mówiło wtenczas: „Obywatelu, ja nie brałem udziału w żadnych walkach. Jestem za młody, ale mam kolegów, którym pomagałem w czasie powstania. Jedzenie im przyniosłem, coś załatwiłem. Ale oni byli w AL.-u.” A on od razu tak – „To trzeba było od razu tak ze mną rozmawiać. To byśmy cię nie bili. Byśmy cię od razu wypuścili.” I na drugi dzień mnie wypuścili, tylko kazali przychodzić cały miesiąc codziennie podpisywać się. Wyszedłem na ulicę Targową, to jest za Cyryla i Metodego niedaleko, jakieś trzysta, czterysta metrów, nie wiem. Z wycieńczenia na przystanku tramwajowym upadłem. Zajęło się mną dwoje młodych ludzi: „Co ci jest?” Ja mówię: „Bity byłem.” Wzięli mnie pod pachę – „A gdzie mieszkasz?” Ja mówię: „Na Żąbkowskiej”. Podałem im numer. Podprowadzili mnie pod dom, zadzwonili i uciekli. Ja tak leżę, taki półprzytomny. Wskoczyła matka, siostra, zabrały mnie do domu. Zobaczyły mnie, jak ja wyglądam, to wezwały moją ciotkę lekarkę, Janowską Zofię. Przybyła. Później [mówi]: „Słuchajcie, do szpitala ja go wziąć nie mogę, bo tam jest ścisły nadzór. Ale będziemy go leczyć w domu. Ciężki jest stan, ale damy radę.” No i wyleczyły mnie przez miesiąc. I ja wtenczas przez miesiąc miałem pojęcie, co to jest władza ludowa. Jak przejęli powstańca, który wrócił w pokojowych sprawach i mnie wykończyli po prostu całkowicie, że po miesiącu czasu [dopiero] jako tako zacząłem chodzić. A riksą codziennie mnie dowozili na posterunek, żebym mógł podpisać to. Riksą, bo ja chodzić nie mogłem. Czyli mama musiała płacić za riksę, żeby tam mnie podprowadził, podwiózł, [żebym mógł] podpisać i z powrotem przywiózł do domu. No po tym wszystkim doszedłem jakoś do siebie.

Data i miejsce nagrania	2017-01-13, Nałęczów
Rozmawiał/a	Piotr Lasota, Agnieszka Łąkocy
Transkrypcja	Agnieszka Piasecka
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"